

SEAN
HAYES

TODD
MILLINER

CARLYN
GREENWALD

TIME



OUT



ENDORFINA

SEAN
HAYES

TODD
MILLINER

CARLYN
GREENWALD

TIME OUT



TEUMACZENIE
Izabela Żukowska



ENDORFINA



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dziś są moje szesnaste urodziny.

Przyswajam tę myśl przez chwilę, bo jestem zaspany. Pierwsze sekundy szesnastych urodzin spędzam we własnej sypialni.

To ostatni moment, nim świat się dowie, że jestem gejem.

Właśnie tak, jestem gejem. W myślach wypowiedziałem te słowa setki razy, ale ani razu nie przeszły mi przez usta, nawet w zaciszu własnej sypialni.

Nie wyłączyłem wieczorem telewizora, więc leci jakiś program na kanale ESPN. Odbiornik stoi na komodzie, obok medali i pucharów, które dostałem za grę w kosza. Na ścianach wiszą plakaty przedstawiające LeBrona Jamesa, Trae'a Younga i Dominique'a Wilkinsa. Przebiegam wzrokiem po stercie ubrań do prania leżącej przy Xboxie, na którym być może grałem do bardzo późna. Tacy bogacze jak mój kolega z drużyny Tim Ostrowski mają nowszy model. Mimo to konsola spełnia swoje zadanie – pozwala

odprężyć się przed trudnym dniem. Jednak nie będę się teraz rozwodził nad Xboxem. Sięgam po telefon i na czacie grupowym drużyny odczytuję wiadomość, którą wysłał Ostrowski.

Ostrowski

5:59

Dzień dobry, chłopcy. Dziś pep rally*!!! Wiecie, co to oznacza. Czas zachować się jak pieprzeni mistrzowie. Ubierzmy się na czarno. Onieśmielmy do cholery każdego i bądźmy gotowi na zabawę 😊

Przewracam oczami zadowolony, że nikt mu nie odpisał, i przenoszę wzrok na zegar. Czuję ucisk w żołądku, gdy dostrzegam, że dziś wyświetla już osiemnaście tysięcy sześćset piętnaście, a nie szesnaście. Ten zegar z minutnikiem kupiłem zaledwie kilka godzin po śmierci mojego dziadka Scratcha i ustawiłem na liczbę dni odpowiadającą pięćdziesięciu jeden latom, tak by wskazał moment, gdy osiągnę jego wiek w chwili śmierci. Odtąd z przerażeniem obserwuję upływ czasu i myślę o zmarnowanych chwilach, czyli tych, w których się nie ujawniłem. Staram się oddychać wolniej. Wiem, że cała ta panika zniknie dziś o czternastej, zanim kolejny raz spojrzę na minutnik. Każdy dzień, z tych które mi pozostały, nawet jeśli będzie ich

* Pep rally – impreza sportowa z okazji rozpoczęcia sezonu rozgrywek.

tylko osiemnaście tysięcy sześćset piętnaście, przeżyję pełnię życia. Tak jakby sobie tego życzył dziadek. Szkoda, że nie ma go już wśród nas.

Wkładam sportowe spodenki, T-shirt i schodzę do kuchni. Ciekawe, czym zaskoczy mnie w tym roku mama. Z okazji urodzin moich i mojego rodzeństwa piecze superwymyślne torty i przystraja dom ozdobami związanymi z drużyną, filmem czy czymś innym, co w danym roku spodobało się któremuś z nas.

W kuchni nic się jednak od wczoraj nie zmieniło – na ścianach nie ma ozdób, a w zlewie piętrzą się naczynia. Poduchy kanapy w sąsiadującym z kuchnią salonie są zapadnięte. Jedyna różnica to kartka leżąca na blacie. Moja młodsza siostra Maggie zajada w salonie pop tart* o smaku oreo, czytając rozłożony na ławie podręcznik. Maggie nie marnuje czasu, który można poświęcić na naukę, nawet na delektowanie się jedzeniem.

– To nie jest smak śniadaniowy – rzucam w jej stronę i wyciągam baton białkowy z pudełka, które zostawiłem na blacie po wczorajszym treningu.

Maggie zerka na baton, a potem piorunuje mnie wzrokiem.

– Żresz batonik o takim samym smaku, palancie.

Biorę przesadnie wielki kęs, po czym sięgam po kartkę. Miło, że mama zostawiła dla mnie chociaż taki drobiazg. Ale na widok tego, co jest w środku, czuję dezorientację.

* Pop tarts – popularne amerykańskie ciastka śniadaniowe.

Z pewnością nie jest to prezent od mamy. Wewnątrz ktoś narysował postać jak z anime – chłopaka z włosami postawionymi na żel, trzymającego gigantyczny tort. Uważnie przyglądam się rysunkowi. Na torcie jest napis: „**Wszystkiego najlepszego, Barclay!!!! Kocham cię, Maggie**”.

Czerwienię się i patrzę na siostrę. Teraz naprawdę czuję, że się wygłupiłem.

– Dziękuję – mówię.

Wzdycha.

– Spoko. Scratch kazałby kupić ci kartkę.

Potakuję, choć imię, które pada z jej ust, wywołuje ból. Wyglądam przez okno, gdy oboje przypominamy sobie o milczącym porozumieniu, brzmiącym mniej więcej tak: „Mimo że jesteś osobą nieznośnie irytującą, nadal mi na tobie zależy”.

Mama ostatnio tak często zrywała się z pracy, że dziś zapewne wyszła wcześniej, żeby nadrobić zaległości. Nie mogę być na nią zły, że nic nie przygotowała z okazji moich urodzin. Wiem, że musi pokryć koszty pogrzebu i załatać dziurę w domowym budżecie, która powstała po śmierci Scratcha. Przez szybę dostrzegam jej auto. Rozlegają się czyjeś kroki. Mama – jakbym przywołał ją myślami – staje za mną. Ma na sobie piżamę. Pod jej oczami widać cienie, których nie zdoła zatuszować żaden puder. Mimo to bardziej mnie niepokoi fakt, że nadal jest w domu. Zwykle przelatuje niczym błyskawica, przerzuca zawartość szuflad w poszukiwaniu kluczy czy butów, które gdzieś zapodziała. A teraz... po prostu stoi w miejscu.

– Idziesz... do pracy? – Przestępuję z nogi na nogę i staram się nie napomknąć o tym, że nie złożyła mi życzeń.

– Później. Poranek minął mi stanowczo za szybko... – milknie i poprawia miodowobrazowe włosy. Moje są w takim samym kolorze.

Żołądek mi się kurczy. Dzień musi biec zgodnie z planem. A ten zakłada, że mama będzie w świetnym humorze albo chociaż w dobrym jak na te okoliczności. Ale ewidentnie czuje się kiepsko. Jest w gorszym stanie niż wczoraj. Nie biorę jednak jej wyglądu za zły omen.

– To nic. Ze względu na pep rally wszyscy robią sobie po południu wolne.

Mama uśmiecha się blado.

– A, tak. Wkrótce rozpocznie się sezon – mówi, jakby ją to przygnębiało, a nie cieszyło.

– Ja... – Zamierzam w końcu wyjść z szafy. – ...Wygłoszę dziś mowę, bo jestem kapitanem. Chciałbym, żebyś była na pep rally. – Niemal słyszę dobiegające z góry tykanie minutnika, gdy kolejny raz chowam głowę w piasek.

– Skarbie, dziś muszę zawieźć Maggie do Emily. Będzie u niej nocować.

Serce mi pęka. Od pogrzebu wszystkiego unika. Przestała chodzić na spotkania klubu książki i do baru ze znajomymi z pracy, nie chce odwiedzin krewnych spoza stanu. Mimo to nie podejrzewałem, że odpuści sobie pep rally.

Maggie podnosi wzrok znad ekranu i marszczy brwi.

– Emily musi się pouczyć, więc odwołałyśmy spotkanie. Cieszę się, bo dzięki temu mam chwilę, żeby popracować

nad portfolio na konkurs. Walczę o nagrodę dla młodego artysty z Chitwood...

Dobrze. A nawet świetnie. Dziękuję wam, Emily i Maggie, że nieustannie rywalizujecie o tytuły najlepszej uczennicy i artystki w Chitwood w kategorii do lat czternastu.

– W takim razie ty też możesz przyjść na pep rally. Szybko się skończy – mówię.

– Na pewno? – pyta Maggie z niedowierzaniem. – Na prawdę muszę przygotować portfolio.

Na pewno. Wystarczy, że wysłucha mojego przemówienia. Poza tym „przygotowanie portfolio” to według niej dodanie zbędnych elementów do perfekcyjnego dzieła. Żaden z neandertalczyków w jury nie zauważy różnicy między wersją niedopracowaną a odpicowaną.

Niespodziewanie, zamiast głosu mamy, która powinna mnie zapewnić, że pojawi się z Maggie na pep rally, choćby się waliło i paliło, wybrzmiewa cisza.

Mama odzywa się dopiero dłuższą chwilę później.

– Barc, ja... – Rozmasowuje ramię. – Niedawno wróciłam do pracy. Nie jestem jeszcze gotowa na spotkania z ludźmi. Mama Zacka filmuje każdą inaugurację sezonu, prawda? Ja... oglądnę nagranie. – Posyła mi marny uśmiech, jakby chciała mnie skłonić do powiedzenia, że nie mam jej tego za złe. – Na pewno świetnie sobie poradzisz.

Mama nie przyjdzie na pep rally.

Ta myśl ma ogromną siłę rażenia, sprawia, że łzy napływają mi do oczu, i wręcz zmusza, bym usiadł na blacie.

Źle, że mama się wykręca od udziału w pep rally i że ma naprawdę kiepskie samopoczucie. Co gorsza, właśnie skomplikowała mój plan.

Serio chciałem się ujawnić w domu, zanim zrobię coming out na otwarciu sezonu. Uważam, że mama powinna się dowiedzieć o czymś takim przed innymi mieszkańcami miasteczka. Ale ostatnio jest taka przygnębiona... że już sam nie wiem. Rzecz w tym, że nigdy nie poruszaliśmy takich tematów. Ostatnio rozmawiamy jedynie o koszu. Wiem, że nie ma nic złego w byciu gejem. Mimo to się zastanawiam, jak przyjmie tak niespodziewaną wiadomość.

– Mamo, spojrzysz na mój ostatni szkic? – pyta Maggie.

– Skoro mowa o koszykówce, jak się zapatrujesz na ten sezon? – zwraca się do mnie w tym samym czasie mama, siląc się na uśmiech, jakby chciała mi wynagrodzić brak obecności na pep rally.

Maggie milknie.

Wyjmuję opakowanie pop tartów z wielkiego pudełka siostry i tym samym daję jej szansę na zainteresowanie mamy rysunkiem. Maggie jednak – niczym wróg w grze – mierzy mnie gniewnym spojrzeniem, prawie jakby miała w oczach laser.

– Zaszły jakieś zmiany na liście interesujących cię uczelni? – ciągnie mama, jakby nie usłyszała Maggie. – Czytałam w gazecie, że każdy uniwersytet stanowy wyśle łowcę talentów na pierwszy ważny mecz. Wiesz, dobrze by było, gdybyś studiował z bratem na Georgia Tech.

Maggie zaciska dłonie. Udziela mi się jej frustracja. Skoro mama nie czuje się na siłach, aby iść na pep rally, to po co w ogóle gada o koszykówce? Już przytłacza mnie tak wielka presja, że nie mogę spać po nocach. Martwię się, czy uda mi się dostać na Georgia Tech, uczelnię w Villanovie, Kansas albo jakąkolwiek inną wielkomiejską, o której marzę. Nadziei pozbawia mnie myśl o ponownej klęsce w mistrzostwach, strach, że bez Scratcha niczego nie osiągnę.

– Dziennikarze wydzwaniają bez przerwy – mówi mama ze wzrokiem wbitym w schody, jakby wypatrywała już powrotu do łóżka. – Przysięgam, że któregoś dnia przyplączę to pracą, ale to nic. – Na pewno żartuje. Mimo to czuję lekki niepokój. – Wiem, że jesteś bardzo dobry, ale nie możesz spocząć na laurach. Potraktuj sport poważnie. – Ścisnęła mnie za rękę, po czym wchodzi na schody.

Sprawdzam godzinę na telefonie. Jeśli za chwilę nie wyjdę, to się spóźnię, a dziś nie mogę sobie na to pozwolić... Nie sądziłem, że ten dzień tak się zacznie.

– Porozmawiamy później? – staram się ratować sytuację. Maggie zrywa się na nogi.

– Możemy czasem porozmawiać o czymś innym niż koszykówka? – krzyczy wysokim piskliwym głosem.

Wypada z kuchni i pędzi do swojego pokoju. Mama wzdycha ciężko, wreszcie idzie za Maggie. Właśnie straciłem szansę na coming out.

Siłą woli ruszam w stronę drzwi do ogrodu. Kątem oka zerkam na kalendarz z pejzażem Georgii – ktoś zakreślił ten dzień serduszkami.

Te urodziny i inauguracja sezonu to pierwsze wydarzenie w życiu naszej rodziny, w których Scratch nie weźmie udziału. Mama nawet o nim nie napomknęła. Każdy chce, żebym nie zaprzętał sobie niczym myśli. Jak mawia trener: „Zduś to w sobie i ciśnij jeszcze mocniej”. Jednak emocje i tajemnica ciąży mi niczym ołów i ciągną na dno. Nie mogę i nie chcę skończyć jak mama. Przejmę kontrolę nad swoim życiem, jak życzył sobie tego dziadek. Mamie powiem, że jestem gejem, po powrocie do domu, kiedy już inni okażą mi wsparcie. Na pewno zrozumie.

Wychodzę. Chcę podejść po rower, który stoi obok garażu, coś jednak przyciąga mój wzrok. Zamieram. Zniknęła dziecięca obręcz do kosza, którą lata temu kupił mi Scratch. Nie było nas stać, żeby wymienić ją na standardowy rozmiar. Teraz jednak w tym miejscu znajduje się nowusienki, przewiązany czerwoną kokardą kosz z lśniąco jaskrawopomarańczową obręczą. Na zwykłej kartce przy-mocowanej taśmą do tablicy widnieje napis: **„Dalej bądź w tym niesamowity, ale ze #swagiem. Kocham cię. Devin”**. Uśmiecham się tak szeroko, że zaczynają mnie boleć policzki. Mój straszny brat Devin musiał przyjechać z uczelni, gdy spałem, i umieścić tu ten prezent. Gestu z takim rozmachem spodziewałem się po mamie. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że potrzebuję takiego sygnału.

Biorę z garażu zniszczoną piłkę i oddaję rzut po doskonałym łuku. Piłka przelatuje przez siatkę z pięknym świstem. Odpręża mnie to, więc zbieram piłkę i rzucam jeszcze dziesięć razy, mimo że goni mnie czas.

Gdy w końcu czuję, że jestem zrelaksowany, a moje ramiona się rozluźniły, piszę do Devina: „**Dziękuję! Widzimy się wieczorem**”. Wsiadam na rower.

W końcu zaczynam odbierać te pozytywne wibracje, na które liczyłem. Jadę, a z telefonu dobiegają dźwięki przychodzących wiadomości. Zapewne dostaję właśnie życzenia. W każdym SMS-ie doszukuję się znaku, że postępuję słusznie i że sobie poradzę.

Dziesięć minut później, gdy wjeżdżam do miasta, mam jeszcze lepszy humor. Mijam lokale przystrojone na niebiesko i złoto – to barwy drużyny Wildcats. Sąsiedzi na mój widok machają, niektórzy już przygotowują transparenty na jutrzejszy mecz, czyli rozpoczęcie sezonu. Gdy wchodzę do szkoły, prawie obcy ludzie podnoszą wzrok znad telefonów, posyłają mi uśmiechy i życzą wszystkiego najlepszego. Większość chłopaków z drużyny stoi w rzędzie przy wejściu, klepie mnie po plecach i tak głośno krzyczy: „Barclay ma dziś urodziny!”, że słyszą to nawet nauczyciele w salach.

Cała moja szafka jest obklejona ręcznie wykonanymi kartkami – chyba w życiu tylu nie dostałem. Przyglądam się im, otwierając kłódkę. Rozprasza mnie dotyk miękkich ust na policzku i woń drogich perfum. Od razu się domyślam, że to kapitanka cheerleaderek, Catherine Finney.

– Powodzenia. Będę ci dziś kibicować – mówi, a właściwie mruczy.

Dopadają mnie lekkie wyrzuty sumienia. Macaliśmy się po pijaku na zeszłorocznej imprezie po zakończeniu

rozgrywek, po czym utwierdziłem się tylko w przekonaniu, że jestem gejem. Wiem, że powinienem był ją delikatnie spławić, ale nie miałem pomysłu, jak to zrobić, by nie przyznać się do swojej orientacji. A na to jeszcze nie byłem gotowy. Od jutra będziemy się zapewne śmiać na wspomnienie tamtych chwil.

Miejsce wyperfumowanej Catherine zajmuje mój przyjaciel, Zack Ito.

– Siema, stary! Spójrz no na siebie. Dziś masz urodziny i rozpoczynasz rozgrywki o mistrzostwo! – Szcherzy zęby i zgarnia do tyłu długie ciemne włosy. – Finney chce ci dziś zrobić loda. Po jutrzejszym wygranym meczu lepiej się z nią w końcu umów.

Nie mam Zackowi ani reszcie drużyny takich uwag za złe. Gdy wykręcam się od spotkań pracą, wybieram solo na imprezę albo milczę w szatni, dostrzegam ciekawskie spojrzenia, niemal słyszę niewypowiedziane pytania. Jeszcze nie dociekają, czy jestem gejem. To jednak kwestia czasu. Nie znoszę świadomości, że każdy podejrzewa, co jest na rzeczy. Na szczęście od dziś nie będę się musiał tym przejmować. Wypowiem dwa słowa i prawda wyjdzie na jaw. Na moich warunkach.

Na razie jednak kolejny raz próbuję otworzyć szafkę.

– Nie sądzę, by chciała zrobić mi loda – mówię.

Zack spogląda przez ramię na Catherine, a ta zaczyna do mnie machać, gdy tylko kieruję na nią wzrok. Posyłając mi flirciarski uśmiech, zakłada ciemny lok za ucho.

W Chitwood w stanie Georgia liczy się tylko koszykówka. Barclay Elliot to gwiazda licealnej drużyny. Wszystko się jednak zmienia, kiedy podczas imprezy z okazji inauguracji sezonu decyduje się na coming out. Barclayowi niespodziewanie przyjdzie się zmierzyć z wrogością ze strony miejscowych. Nie może już szukać pomocy u dziadka ani liczyć na wsparcie kolegów z drużyny. Kim jest bez koszykówki?

Jego przyjaciółka Amy prawdopodobnie zna odpowiedź. Wciąga go do grupy działającej na rzecz praw wyborczych, aby nadać jego życiu nowy kierunek. Chłopak, szukając sensu istnienia, odnajduje Christophera – irytującego, nieustraszonego, bezsprzecznie przystojnego, za którym nigdy nie przepadał. Kiedy Barclay dopuści do głosu tłumioną część siebie, wyjdzie na jaw, że łączy ich więcej, niż mógł podejrzewać.

Czy Barclay w końcu poczuje, jak to jest być po prostu... **SOBA**?



ENDORFINA



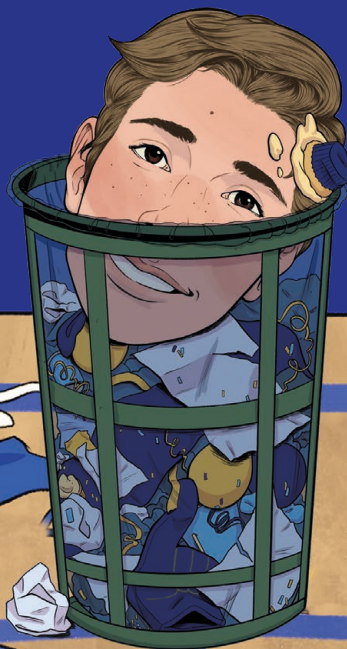
/WydawnictwoEndorfina



/wydawnictwoEndorfina



/wydawnictwoendorfina



ISBN 978-83-8231-478-6



9 788382 314786

MT2407E

Cena: 54,90 zł